

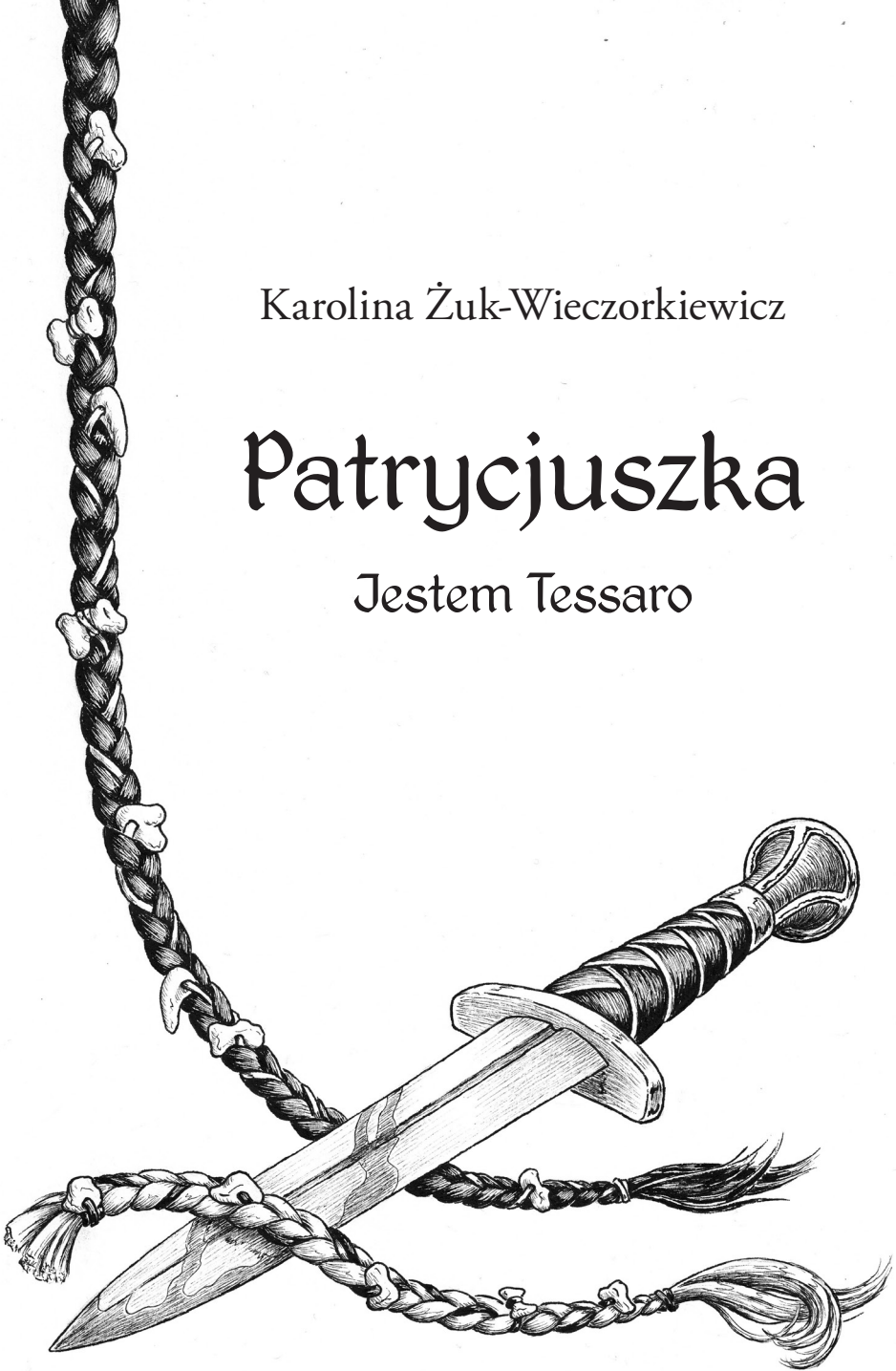
Patrycjuszka

Jestem Tessaro

Karolina Żuk-Wieczorkiewicz

Patrycjuszka

Jestem Tessaro



Redakcja

Beata Wojciechowska-Dudek, Marta Tojza – W sieci słów

Korekta

Dorota Rybak

Ilustracje

Karolina Żuk-Wieczorkiewicz

Projekt okładki

Karolina Żuk-Wieczorkiewicz

Opracowanie graficzne i skład

Karolina Żuk-Wieczorkiewicz

Korekta techniczna

Dorota Rybak

Wydanie I, Gdańsk 2023

© Karolina Żuk-Wieczorkiewicz 2023

ISBN 978-83-963735-5-7

Druk i oprawa

totem.com.pl

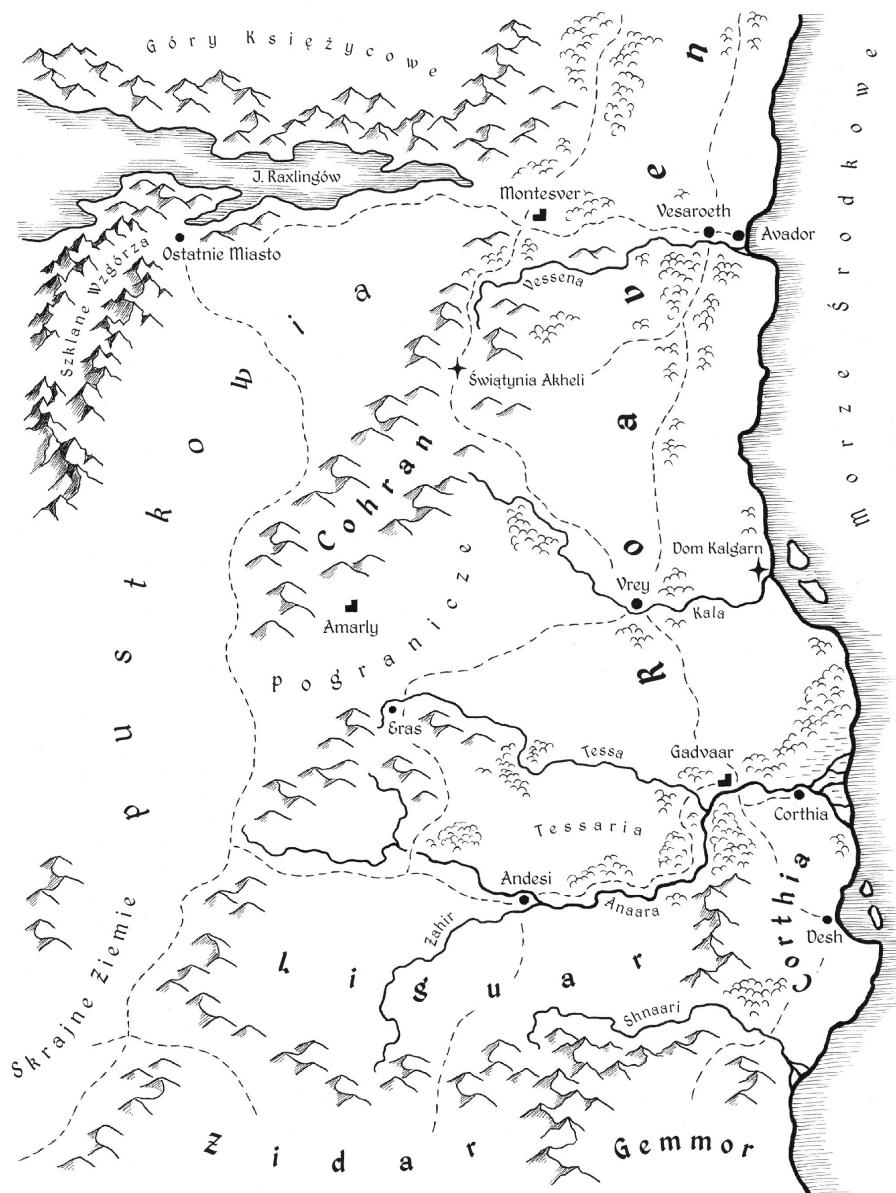
Wydawca

Karolina Żuk-Wieczorkiewicz – Avaroth.pl

[Kup książkę](#)

Darii, by miała odwagę spełniać marzenia

✚ Roaven i sąsiednie krainy ✚



Opowieść Kasaara

Trzeba ci wiedzieć, Eurein Tessaro, że akwen, który znasz jako Morze Środkowe, w czasach Ery Herosów był zaledwie fiordem. Szczeliną przecinającą kontynent, służącą tylko temu, by ułatwić transport cennych surowców z Północy, a potem pułapką, która miała zakończyć istnienie mojego ludu.

Byliśmy eksperymentem, dziewczynko. Najbardziej udanym ze wszystkich, jakich podjęli się Salyowie, by stworzyć rasę doskonałych wojowników. Efektem dekad hodowli, bo dla naszych stwórców nie byliśmy warci więcej od zwierząt. A jednak na przekór wszystkim zdołaliśmy wytworzyć więzi silniejsze od bezdusznej tresury i zakłéc, jakimi nas pętano. Stworzyliśmy kulturę. Wprawdzie w Erze Herosów była ona tylko kulturą niewolników, ale dała nam podwaliny do zbudowania naszej społeczności, gdy dzięki łasce bogini Vaissy zyskaliśmy wolność.

Chcesz wiedzieć, jak do tego doszło? Przez strach. Niejednokrotnie udowadnialiśmy swoją wartość w nie swoich walkach. Służyliśmy pod rozkazami obu kast Ery Herosów: wojowniczych Salyów – naszych stwórców – i Deurów – biegłych w magii, którzy oficjalnie brzydzili się przemocą, lecz tak samo bezwzględnie jak Salyowie zmuszali do niej innych. Naszymi rękoma sięgano po splendor i chwałę, jakie płyną ze zwycięstw. Powierzano nam zadania, których nikt nie miał odwagi się podjąć. Wykrwawialiśmy się nie raz, ale rośliśmy w siłę. Z czasem staliśmy się niezbędni.

Wtedy nasi stwórcy zaczęli się nas bać.

Bali się zaś tym bardziej, że zaklęcia, którymi wiązali naszą wolę, nie były w stanie spętać naszego ducha. Pod wymuszonym posłuszeństwem kryła się w nas iskra buntu, niepowstrzymane pragnienie wolności i... nienawiść. Byliśmy inteligentnymi bestiami. Inteligentnymi i wrażliwymi na tyle, by móc rozumieć wroga lepiej niż on sam. Dzięki tym cechom skutecznie realizowaliśmy zadania, jednak miały one swoją cenę, tak dla nas, jak i dla naszych władców: doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co Salyowie nam robią. Cierpieliśmy, oddzielani od naszych bliskich albo widząc ich posyłanych na rzeź. Wiesz, dlaczego zaczęto zniewalać nas magią? Nie poddawaliśmy się manipulacji. W odróżnieniu od ludzi nie obchodziły nas przywileje, chwała Imperium ani splendor wojownika. Instynktownie wyczuwaliśmy fałsz. Wiedzieliśmy, kto naprawdę jest wrogiem. W końcu – o ironio – takimi nas stworzono.

Pod koniec Ery Herosów zaklęcia przestały wystarczać. Rodziło się coraz więcej dzieci odpornych na ich działanie. Nie chcesz wiedzieć, do jakich okrucieństw posuwali się nasi stwórcy, by utrzymać nad nami władzę. Ta jednak coraz bardziej wymykała im się z rąk. Okazało się bowiem, że odpowiednio silne emocje są w stanie przełamać magiczne więzy, a nasza nienawiść była niemal tak samo potężna jak przywiązanie, które od zawsze jednoczyło naszą rasę. Wreszcie podjęto decyzję. Deurowie i Salyowie, w tamtym czasie toczący ze sobą regularną wojnę, zawarli rozejm tylko po to, by posłać nas na śmierć.

Dwie floty przeciwko sobie. Amainowie przeciw Amainom. Przesmyk fiordu między skalnymi ścianami jak pomiędzy szczękami wygłodniałej bestii, a na skałach deuuryjscy magowie w asyście salyańskich strategów, mający dopilnować, by żaden z nas nie wyszedł z tej pułapki żywy.

Wyobraź to sobie, ludzkie dziecko. Rozgoryczenie i wściekłość, wynikające ze świadomości zdrady. Strach o najbliższych, których widzisz na pokładach wrogich statków, a których za chwilę masz zabić, bo tak nakazuje ci czar wszczepiony w mózg. Ból, rozpacz, nienawiść. Nagromadzone w jednym miejscu. Skoncentrowane. Potężne.

Pamiętasz, co ci mówiłem o sile zdolnej przełamać magię?

Energia, jaka powstała w tamtej chwili, przeraziła naszych wrogów nie mniej niż nas samych. Wzburzone fale, pękające liny, wrzask bólu, gdy magiczne pęta puszczały, zostawiając po sobie ranę jak po wyrwanej kończyźnie... Nie sposób było przewidzieć, jak i gdzie ta energia uderzy. Magowie postanowili więc działać: wykorzystać uwolnioną siłę i skierować ją przeciw tym, których niegdyś stworzyli. By mieć pewność, że ich uderzenie okaże się skuteczne, sięgnęli po potęgę żywiołów.

Zgotowano nam koszmar, dziecinko. Skały klifów drżały i się kruszyły, a odłamki wpadały w kipiel, niosąc przerażenie i śmierć. Niektóre były wielkości domów. Wicher rwał żagle na strzępy, a fale zalewały pokłady statków, nad którymi nie szło zapanować. Wydawało się, że bogowie nas opuścili, choć kto inny powiedziałby, że po prostu nigdy ich nie obchodziliśmy, a nam potrzebny był cud. Wtedy jeden z nas, Lokaar, postanowił zmusić bóstwa do interwencji. Zdeterminowany wezwał na pomoc Vaissę – Panią Morza. Powierzył cały nasz lud jej opiece i nim bogini zdążyła odpowiedzieć, przypieczętował przymierze ofiarą: rzucił się w paszczę jej żywiołu.

Nigdy w dziejach nie słyszano o podobnej determinacji. Ani o takiej bezczelności, bo żadne bóstwo nie lubi być szantażowne. Vaissie jednak Lokaar zaimponował. Przyjęła jego ofiarę i otoczyła Amainów kokonem z własnej mocy, by następnie uderzyć w tych, którzy ośmielili się wykorzystać potęgę wody. Gniew bogini

udzielił się również jej rodzeństwu. Kroniki mówią, że morza wystąpiły z brzegów, ziemia się rozstała, wybrzeża zapadły się wraz z ich pięknymi miastami, a w miejscu dawnego fiordu powstała potężna wyrwa, która rozdarła kontynent na dwie części. Tę wyrwę wkrótce wypełniło morze, znane dziś jako Morze Środkowe.

To był początek końca potęgi Herosów. Katakлизм, który miał nas zniszczyć, znacznie bardziej uderzył w naszych stwórców, bo obnażył ich słabość. Podbite ludzkie narody nie chciały uczestniczyć w nie swojej wojnie i jeden po drugim zaczęły się buntować, mimo strachu, że mogłby je spotkać nasz los. Tymczasem my przetrwaliliśmy. Vaissa poprowadziła nas na zachodni kraniec kontynentu, najbardziej oddalony od wojennych zmagani ludzi i Herosów. To miejsce, które nazwaliliśmy *Conneya*, czyli „obietnica”, stało się naszym nowym domem. Dotarliśmy tam zdziśiatkowani, jednak mogliśmy w spokoju wylizać rany, a gdy odzyskaliśmy siły, wróciliśmy, by się zemścić. Nie pętały nas już zaklęcia, lecz wciąż wypełniała nienawiść. Pamięć tego, co robiono nam przez wieki. Pamięć zdrady.

Wreszcie wzięliśmy za nie odwet. Urządziliśmy Salyom rzeź. Ludzie, którzy dopiero co przyjęli nas w poczet sojuszników, przyglądali się temu z przerażeniem, lecz nikt nie próbował nam przeszkodzić. Byliśmy wolni, otaczała nas łaska Vaissy i nie dało się już nas spętać. Przez wieki nikt o tym nawet nie marzył... do czasu.

To jednak osobna historia. Być może kiedyś będę gotów ci ją opowiedzieć.

Na razie zapamiętaj tyle, że żaden Amain dobrowolnie nie zrezygnuje z wolności. Jeśli spróbujesz go związać, stracisz go – lub zniszczysz. Zatem nie próbuj, patrycjuszowskie dziecko. Nigdy. Z żadnym z nas.

Rozdział I

Kroki dwóch mężczyzn niosły się echem w wilgotnej przestrzeni, której istnienia większość mieszkańców Vesaroeth nawet nie podejrzewała. Podziemne struktury miasta były absurdalnie rozległe: w wielu korytarzach dało się swobodnie przejechać konno, a w niektórych nawet zmieściłby się wóz. Przestrzeń nie sprawiała jednak, że było tu przyjemnie. Ze sklepienia, które od stuleci przeciwstawiało się naporowi rzeki, regularnie kapła woda, przez co w podłożu utworzył się ciek. Po godzinie wędrówki na mężczyznach przemokło nie tylko odzienie, ale i buty.

Zirytowany Durwain zdjął kaptur. W tym samym momencie zimna kropla spadła mu na kark, a inna wyparowała z sykiem po zetknięciu z pochodnią. Monarcha zaklął pod nosem i się rozejrzał. O ile dobrze liczył, nie przebyli nawet połowy podziemnego labiryntu.

– Przypomnisz mi, Vehermont, dlaczego to wszystko jest takie wielkie?

– W Erze Herosów te tunele miały pomieścić smoki.

Król skinął głową. Smoki. Ile by dał za choćby jedną eskadrę tych gadów. Niestety większość z nich wyginęła pod koniec Ery Herosów i nawet wspomagana magią inżynieria Deurów nie była w stanie zapewnić im schronienia.

Mimowolnie zerknął w stronę sklepienia. Budulec poczerniał od wilgoci, jednak żyłki jasnoszarego metalu były wyraźnie widoczne.

Fortuna zaklęta w kamieniu, pomyślał. Skarb na wyciągnięcie ręki, po który nie wolno sięgnąć, by wiekowe miasto nie zapadło się w nicość.

Skarb wciąż jednak można było wykorzystać w inny sposób.

– Czy zabezpieczono już szlak do pól turniejowych? – spytał.

– Jeszcze nie. Tunele tam nie sięgają, trzeba było wybudować nowy odcinek.

Durwain westchnął bezgłośnie. Rozmiary przedsięwzięcia chwilkami zaczynały go przerastać, jednak Vehermont twierdził, że względy królewskiego bezpieczeństwa nie mają ceny i nie warto na nich oszczędzać. Najtrudniej było przekonująco wytłumaczyć Radzie, na co w ostatnim czasie wydawano worki pieniędzy z państwowego skarbcza. Na szczęście od podobnych tłumaczeń miał kanclerza. Na bogów, sam bez mrugnięcia okiem przyjąłby kosztorys robót mających na celu remont starych tuneli, by ochronić stolicę przed zalaniem. Gdyby zaś nie przekonali go oficjalne dokumenty, z pewnością uwierzyłby w plotki.

Zachichotał w duchu. Kto by pomyślał, że sława starego dziwkarza pomoże mu kiedyś przysłużyć się królestwu...

Spochmurniał nagle. Wspomnienie pogłosek na swój temat nakierowało bowiem jego myśli na inną sprawę, która od kilkunastu dni nie dawała mu spokoju.

– Czy znaleźliście już sprawców wypadków w dzielnicy uciech? – spytał.

– Pracujemy nad tym – zapewnił królewski zaufany. – To delikatny temat, musimy zachować dyskrecję i ograniczyć rozprzestrzenianie się plotek. Niestety w kwestii głównego podejrzanego mamy związane ręce...

– Ceverdyjczyk. – Monarcha splunął. – Naprawdę nic nie da się zrobić?

– Savander z Ceverde przedstawił glejt dyplomatyczny od samej księżnej Araven, wasza miłość. W praktyce oznacza to, że ma status ambasadora Jej Wysokości, zatem...

– ...jest nietykalny – stwierdził król z przekąsem.

– Chwilowo – przyznał Vehermont. – Oczywiście o ile nie chcemy kolejnego zatargu w pobliżu granicy z Sardią, a ośmielę się zauważyć, że po ostatnim powstaniu...

Durwain uniósł dłoń, nakazując Vehermontowi milczenie. Nie miał ochoty znów wracać do kwestii północnych granic, które przez lata jego panowania napsuły mu więcej krwi niż wszystkie pozostałe konflikty razem wzięte. Nigdy by nie przypuszczał, że jego przyrodnia siostra zyska na Północy takie wpływy. Gdy przed laty jako młoda księżniczka trafiła do sardyjskiej niewoli, Durwain liczył, że barbarzyńcy ją wykończą, a problem niewygodnej (bo z prawego łóża) konkurentki do tronu rozwiąże się sam. Przeliczył się: Araven znalazła sposób, by przetrwać wśród zbuntowanych Sardów, a on zamiast męczennicy zyskał bezwzględnego wroga. Wtedy jeszcze nie znał Lyneth i nie wiedział, do czego zdolna jest kobieta przepelniona poczuciem krzywdy i pragnieniem odwetu.

Westchnął. To był największy błąd jego rządów. Powinien był wykupić siostrę z niewoli albo ją zabić, zanim zjednała sobie względy przekłętego sardyjskiego watażki. Ukatrupienie buntownika nie pomogło – przeciwnie, drań urósł wtedy do rangi legendy i symbolu oporu przeciw najeźdźcom z Południa, a o nieszczęśliwej miłości zaczęły powstawać ballady. Nikt jakoś nie pomyślał, że dla roaveńskiej księżniczki pozostawionej na pastwę wściekłych Sardów łóżko ich wodza mogło być po prostu jedyną szansą na przetrwanie. A sprytna Araven nawet tę hańbę potrafiła obrócić na swoją korzyść.

Właściwie ją podziwiał. Nie zmieniało to jednak faktu, że obecna księżna Ceverde nie przepuszczała okazji, by uprzykrzyć mu życie

niczym wrzód na tyłku. Zastanawiał się, czy celowo nie wybrała na swego wysłannika kogoś takiego jak Savander: nieokrzeseanego barbarzyńcy, który gdzieś ma politykę i zasady dworskiej etykiety. Kogoś, kto przypomni Durwainowi o jego dawnych grzechach. I kogo nie będzie można się w prosty sposób pozbyć bez ryzyka konfliktu, który naprawdę nie byłby teraz królowi na rękę.

Westchnął.

– Czy mogę zaufać, Edricu, że zajmiesz się sprawą z należytą ostrożnością?

– Oczywiście, wasza miłość.

– Dobrze. Informuj mnie o postępach.

– Tak jest. Czy możemy już...

– Tak. – Monarcha zapatrzył się w ciemność tuneli wzmocnionych nitkami inahilu. Z oddali zaczynały dobiegać odgłosy wykonywanych pod ziemią prac. Durwain zarzucił na głowę na wpół przemoczony kaptur. – Kontynuujmy.

Bezpieczeństwo przede wszystkim, pomyślał. Później będzie się tłumaczył z wydatków. Szczekacze z Rady zamkną pyski, gdy korzyści z sojuszu z Cohranem na nowo wypełnią skarbiec po brzegi.

Uśmiechnął się do siebie. Amara Aranhyr była dla niego warta każdej ceny.



Amara, krążyło mu po głowie imię córki Evehrów, którą Durwain III wybrał na swoją królową. *Amara Aranhyr*.

Avero jak przez mgłę przypominał sobie wesołego podlotka, który za wszelką cenę starał się mu zaimponować, podczas gdy on zajęty był dogadywaniem szczegółów zlecenia związanego z opieką nad małoletnim synem *aruneh*. Gościł wtedy tydzień u Cohrańczyków i przez cały ten czas dziewczyna, po której już wówczas było widać,

że stanie się prawdziwą piękną, nie odstępowała go na krok. W końcu zgodził się pokazać jej kilka przydatnych w walce sztuczek, ku rozpaczy całej czeredy młodych chłopców, którzy od tamtej pory – miast całusów – dostawali cięgi za każde spojrzenie.

Amara, bliźniacza siostra Sandoka Aranhyra, przyszła królowa Roavenu.

Jego ostatnie zlecenie.

Avero zakrył dłońmi twarz. Gdyby chodziło o Durwaina, zapewne zdusiłby skrupuły w zarodku i od razu przystał na warunki lorda. Eurein była warta takiej ceny. Ale to...

Rikard Montesver nie żądał od niego natychmiastowej odpowiedzi. Cynicznie parodiując łaskawość, dał mu czas na podjęcie decyzji, po czym kazał go na powrót wtrącić do celi cuchnącej wilgocią i pleśnią. Tym razem oszczędzono mu kolejnej dawki zieliska, ale zadano cierpienie w inny sposób. Przez Dars.

Jej krzyki słyszał jednak krótko. Gdy ustały, duszę najemnika przepełnił dziki skowyt – i tylko strzępy rozsądku pozwoliły na zdławienie go w środku.

Jestem narzędziem, przypomniał sobie słowa Darseny. *Narzędziem, by zadać ból.*

Ta tortura bolała go bardziej niż ciosy Reynarda po przyjęciu dawki cierpiętника. Na myśl o tym, że to samo miałyby spotkać Eurein... Zaciśnął dłonie, aż zatrzeszczały stawy. Na to nie mógł pozwolić. Ale mimo wszystko...

Amara. Amara Aranhyr.

Niech to jasny szlag, zaklął w duchu. *Cholerny, wyrachowany skurwysyn...*

Avero o wiele mniej martwił się o własne życie; ostatecznie ryzyko jego utraty nieodłącznie wiązało się z profesją, jaką wybrał. Kiedyś pokłócili się o to z Darseną. Wykrzyczała mu wtedy w twarz, że to głupie. Cóż, śmierć z ręki nieopierzonego gówniarza, który

ponad wszystko potrzebował prestiżu i sławy, faktycznie nie była szczytem jego marzeń. Jednak najemnik potrafił wyobrazić sobie gorszą – i bynajmniej nie chodziło tu o powolną kaźń w rękach kata. Ta byłaby bowiem niczym wobec mąk, jakie zgotowałby mu Sandok Aranhyr, jeśli Avero poważiłby się podnieść rękę na jego siostrę.

Uśmiechnął się gorzko. Przeklęty szlachciura faktycznie zaoferował mu łaskę.



Kobiecy wrzask przedarł się przez plataninę korytarzy, minął ciężkie drzwi – teraz uchylone – i dotarł do uszu rycerza, który siedział za wiekowym biurkiem, pochylony nad stosem dokumentów. Dźwięk wywołał mimowolny skurcz mięśni na jego twarzy. Nie lubił słuchać czegoś takiego. Zawsze uważał, że zadawanie bólu kobiecie w jakiś sposób uwłacza temu, kto ten ból zadawał. Zwłaszcza jeżeli był szlachcicem.

Krzyk rozległ się powtórnie, rozdzierający, schrypnięty. Sir Gavin zwalczył pokusę, by po prostu zamknąć drzwi i się od niego odgrodzić. To byłoby tchórzostwo. Udawanie przed samym sobą, że nic nadzwyczajnego nie działo się w murach, nad którymi z rozkazu króla Durwaina sprawował pieczę... za karę. Niech więc to będzie część jego kary. Jego pokuta za to, co zdecydował się zrobić. Dla idei. W imię wyższego dobra...

Wrzaski ucichły, zastąpione wkrótce cichym, bezradnym szlochem. W sercu rycerza odezwało się coś na kształt współczucia. Gdyby chodziło o inną kobietę, zapewne dawno pospieszyłby z pomocą. Tym razem jednak zakazano mu się mieszać. Reynard Montesver miał swoje metody... i swoje kaprysy, którym chętnie ulegał, a nikt nie miał dość odwagi, by mu się sprzeciwić.

Przynajmniej sir Gavin nie musiał na to wszystko patrzeć. Niestety miał dobry słuch.

To tylko dziwka, tłumaczył sobie. Sama wybrała sobie swój los. Powinna być świadoma ryzyka, jakie wiązało się z tym wyborem.

Przymknął oczy, niezdolny całkiem zagłuszyć sumienia, choć rozum raz po raz podpowiadał kolejne uzasadnienia dla odbywających się w pobliżu tortur. Wielkie sprawy wymagały ofiar, a on działał wszak w imię honoru innej skrzywdzonej kobiety, w dodatku ze szlachetnego rodu. Odpędził myśl, że Lyneth Montesver prawdopodobnie nigdy nie doznała podobnych katuszy, co właścicielka głosu. Ją skrzywdzono w inny sposób. A zrobił to człowiek, który winien być przykładem rycerskich cnót dla całego pieprzonego królestwa...

Skrzywił się mimowolnie. Nawet nie zauważył, kiedy do jego myśli zaczął się wkradać chamski język. Lata przebywania wśród posępnych murów i nie mniej ponurych ludzi najstarszego i najlepiej chronionego więzienia Roavenu niepostrzeżenie odciskały na człowieku swoje piętno. Sir Gavin miał niekiedy wrażenie, że na wskroś przesiąkł tutejszym stęchłym zapachem i atmosferą, która wydawała się cięższa od ołowiu. Jenó patrzeć, jak na jego skórze pojawiają się charakterystyczne żyłki matowego metalu, które oplatały mury twierdzy od samej Ery Herosów.

Mimo woli zerknął w stronę ściany, na której wtopione w kamień metaliczne linie tworzyły nieregularną siatkę. Podobna siatka spowijała większość cel w tutejszych lochach – zwłaszcza te przeznaczone dla więźniów, którym należało uniemożliwić posługiwanie się jakąkolwiek mocą. W jednej z takich cel przebywał najcenniejszy z obecnych „gości” Gadvaar. Wprawdzie poddany wyrafinowanej torturze Amain aktualnie nie wydawał się stanowić wielkiego zagrożenia, ale sir Gavin, nauczony doświadczeniem, wołał nie ryzykować.

Dopił resztkę wina z pucharu i wyciągnął rękę po butelkę, jednak po namyśle zrezygnował. Miał do podjęcia kilka decyzji i lepiej było to zrobić na trzeźwo. Pochylił się nad pergaminami. Większość dotyczyła powszednich spraw związanych z bezpieczeństwem w mieście: ot, mianowanie nowych dziesiętników czy ważniejszych dowódców królewskiej gwardii; oczekujące na zatwierdzenie rozkazy przejścia w stan spoczynku; listy wypłat żołdu dla tych, którzy – przynajmniej oficjalnie – wciąż stanowili zbrojne ramię Durwaina na tej przeklętej prowincji. Gavin de Vrey zastanawiał się, którym z nich może zaufać na tyle, by przekonać ich do swojej sprawy...

Nie do swojej, poprawił się. Do sprawy wykorzystanej kobiety i jej syna, których haniebnie pozbawiono należnych im praw.

– Jeszcze raz – dobiegło zza drzwi. W uszach rycerza wnet zabrzmiały urywane błagania, które przez strach i ból zmieniły się w niezrozumiałą bełkot.

– Panie... – udało mu się wychwycić. – Panie, proszę...

Słowa znów zlały się w krzyk, przerywany od czasu do czasu rozkazami syna Montesverów. Gavin nie mógł się oprzeć wrażeniu, że za chłodnym tonem głosu, który wydawał polecenia, kryje się jakaś chorobliwa... przyjemność?

Ogarnęło go obrzydzenie. Po latach służby w tej twierdzy był w stanie wiele znieść, jednak cierpienie zadawane bez żadnego istotnego celu wciąż budziło jego głęboki sprzeciw. Jeszcze przez chwilę tkwił nieruchomo z piórem drżącym nad pergaminem, wbrew sobie wchłaniając dźwięki dobiegające zza uchylonych drzwi. W końcu się poddał. Wstał, by je zamknąć, po czym, wróciwszy do stołu, napełnił sobie puchar winem i przeplukał usta. Niewiele to pomogło. Podeszedł więc do okna i otworzył je na oścież, by owionęło go powietrze niosące zapachy miasta i rzeki. Odetchnął kilka razy. Wmówił sobie, że jest lepiej, jednak mdliło go jeszcze co najmniej przez kwadrans.



Eurein zgłębiała się w pól, niezdolna powstrzymać torsji. W głowie wciąż jej pulsowało jak po solidnym ciosie, a obraz przed oczami uparcie nie chciał się ustabilizować, przyprawiając ją o kolejne fale mdłości. W efekcie wyrzuciła z siebie całą zawartość żołądka, który w ostatnich dniach i tak napełniała oszczędnie, i czuła się słaba jak niemowlę.

Pięknie...

– Lepiej? – spytał Kasaar, gdy jej trzewia się uspokoiły, a wzrok odzyskał zwykłą sprawność. Zadał to pytanie ze spokojem, nie przerywając dłubania w korze wiekowego dębu.

Eurein skinęła głową. Przeplukała usta wodą z bukłaka i otarła je rękawem. Tymczasem sprawca zamieszania wylądował u jej stóp i nieśmiało otarł łeb o jej łydki, jakby chciał wyrazić skruchę i żal za to, co spowodował. Eurein uśmiechnęła się blado i ostrożnie podrapała gada pod dziobem.

– Nie martw się – szepnęła łagodnie. – To nie twoja wina.

– Niepotrzebnie walczysz – stwierdził Kasaar, wciąż skupiony na swoim dziele. – Gdybyś wpuściła go od razu, cierpiałabyś zdecydowanie mniej.

– Nie tak łatwo oddać komuś kawałek duszy – burknęła.

– Nie oddać, tylko przyjąć. I nie duszę, a zmysły – sprostował skrytobójca. – Wrażenia innego organizmu. – Zerknął w jej stronę. – Powinnaś docenić to, że obdarzył cię zaufaniem. Żmijuny wcale nie są do tego skłonne. Ich telepatia to nie tylko sposób komunikacji. Równie dobrze może służyć za broń.

Dziewczyzna wzdrygnęła się. Odkąd Kasaar obrazowo wyjaśnił jej, czym najczęściej kończą się próby zawładnięcia żmijunem, który tego nie chce, nabrała do zwierzaka zdecydowanie więcej respektu. Przypomniwała sobie własne wysiłki skłonienia go do działania wbrew

rozkazom Avero i stwierdziła, że miała wtedy cholerne szczęście, skoro nie skończyła z przebitym oczodołem. Albo, tak jak przed chwilą, rzygając jak kot. Najemnik miał rację. Bestia musiała ją lubić.

Jakby na potwierdzenie żmijun trącił jej dłoń, żądając kolejnej porcji pieszczot, a gdy zmierzwiła pióra na jego głowie, zmrużył z ukontentowaniem oczy. Że też coś tak uroczego mogło być zarazem tak zabójcze...

– Zobaczycie coś?

– Nic. – Potrząsnęła głową i zakłęta w duchu, gdy gwałtowny ruch obudził kolejną falę mdłości. – Miałam wrażenie, jakbym... jakbyśmy nie mogli się przebić przez zasłonę. Nie byłam nawet w stanie wyczuć, czy... – *Czy Avero żyje*, dokończyła w myślach, bo głos uwiązał jej w gardle. Zaniepokojony gad poruszył się pod jej dłonią.

Kasaar jednak wydawał się opanowany. Poza tym, że zaczął szybciej manewrować nożem przy korze.

– Inahil – stwierdził i splunął pod nogi. – To potwierdza nasze informacje.

Eurein zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem.

– W starych więzieniach, takich jak Gadvaar, znajdują się liczne cele wyłożone tym metalem. W dawnych czasach osadzano w nich magów. Inahil miał zapobiec używaniu mocy i utrudnić odnajdowanie więźniów przez tych, którzy mogliby chcieć ich uwolnić.

– Na przykład przez takich jak my? – podchwyciła dziewczyna.

Kasaar skinął głową.

– Albo przez innych magów – odparł. – Zanim większość Środkowych Krain związała Przysięga Erloca, ludzi mocy było tu całkiem sporo. Wtedy wplatanie żyłek metalu w więzienne mury miało sens. Z czasem podobne działania uznano za zbędną rozrzutność i zaprzestano tych praktyk. Dzięki temu my mamy pewność,

gdzie szukać. – Odsunął się nieco od drzewa i obrzucił swoje dzieło krytycznym okiem.

Zaciekawiona Eurein zostawiła wyraźnie niezadowolonego żmijuna i podeszła do skrytobójcy. Dłuższą chwilę przyglądała się kształtowi wyciętemu w korze.

– Kwiatek? – spytała wreszcie.

– Oleander – uściślił, strzepując wióry z dębowego pnia. Starringie oczyścił zakrzywioną głównię i wsunął nóż do pochwy. – Wiadomość dla tych, którzy mogliby nas szukać.

Dziewczyna spojrzała na niego spode łba.

– Sądziłam, że powinniśmy raczej zacierać ślady, niż...

– Zaufaj mi. – Kasaar uśmiechnął się, lekko mrużąc oczy. – Wiem, co robię... – Skinął jej głową. – Nakarm konie, Eurein. Niech zjedzą trochę suchego obroku...

Który ukradłeś, dodała w myślach dziewczyna.

– ...ja zaś sprawię w tym czasie naszą zdobycz. Nim się upieczesz, będziemy mieli jakieś trzy kwadranse na trening.

– Z przerwami – wtrąciła, czując ssanie w żołądku.

Kasaar zmarszczył brwi.

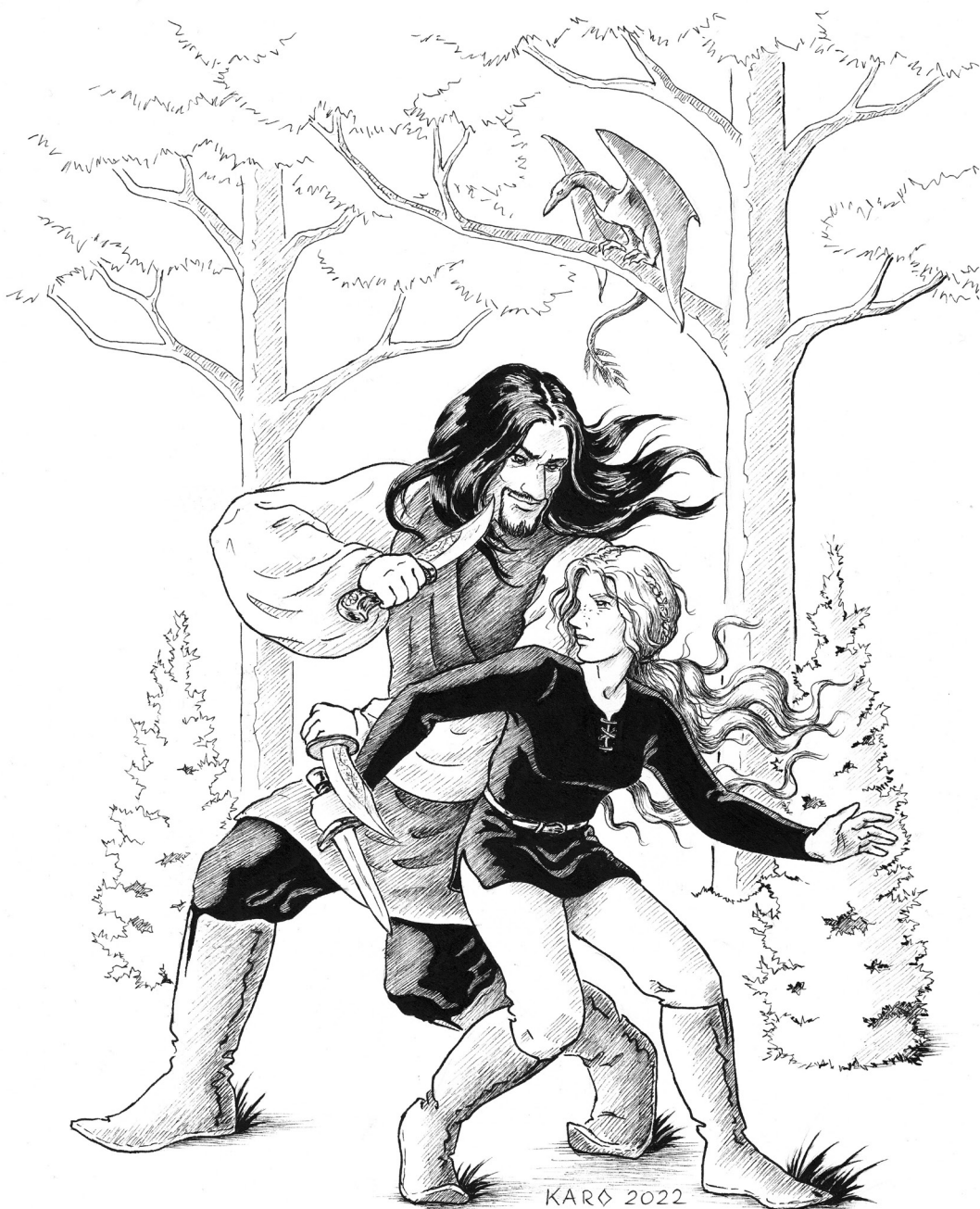
– Czemu?

– Pieczeń trzeba czasem obrócić. Dax tego nie robi.

– Bystra dziewczyna – pochwalił. – A teraz rusz zadek i bierz się do roboty.

Wróciła, nim zdążył rozpaść ognisko, z obnażonym sztyłem w dłoni.

Uderzył bez ostrzeżenia. Eurein sparowała pierwszy cios i uchyliła się przed kolejnym, nim zebrała zwyczajne cięgi od swego nauczyciela. Mimo wszystko tym razem był z niej zadowolony: liczba przekleństw pod jej adresem zmniejszyła się o jakąś połowę. Dla Eurein ważniejsze było jednak to, że po ćwiczeniach nie potrzebowała bandaży, choć koszula lepiała się do jej spoconych pleców,



KARO 2022

a mięśnie wyły z bólu tak samo jak po każdej lekcji. Nauczyła się za to kontrolować oddech.

Ale nie brzuch.

– Kolacja, Eurein? – Kasaar uśmiechnął się na dźwięk odgłosów z jej trzewi.

Dziewczyna skwapliwie pokiwała głową.

– Zaraz do ciebie dołączę. Siadaj – dodał.

Podszedł do swojej sakwy i wydobył z niej wąski zwój materiału, którego zapas systematycznie się kurczył po treningach Eurein. Dopiero wtedy dostrzegła rozdarcie i czerwony ślad na rękawie jego koszuli.

– Kasaar... ty krwawisz!

– Owszem. – Podwinął rękaw, opatrzył sobie przedramię i chwycił bandaż zębami. Delikatna tkanina pękła z cichym trzaskiem. – Potraktuj to jak lekcję: nigdy nie lekceważ przeciwnika. W walce na noże każdy może oberwać. Nawet mistrz.

– Chcesz powiedzieć, że to ja...

– Tak, ty – przerwał niecierpliwie. – Zamknij usta, Eurein. Dziękuję. I nie podniecaj się tak. Do biegłości w tej broni jeszcze ci daleko... Zdejmij bażanta z ognia, bo się zwęgli.

Posiłek upłynął w milczeniu. Przynajmniej dopóty, dopóki żołądek Eurein nie przestał przyrastać do kręgosłupa.

– Jak poznałeś Avero? – zagadnęła.

Nie odpowiedział od razu, zajęty ogryzaniem udka bażanta, upolowanego z rana przez zmijuna. W odróżnieniu od Eurein, która pochłonęła danie w kilku kęsach, były skrytobójca wolał w spokoju nacieszyć się jego smakiem. Eurein czekała cierpliwie, choć od patrzenia na jedzącego Amaina znów zaburczało jej w brzuchu. Wreszcie Kasaar skończył jeść i rzucił kostki w ognisko. W zielonych oczach odbiły się wzniecone iskry.

– Jako szczeniak ocalił mi życie.

Dziewczyna spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– On tobie? – upewniła się.

Kasaar skinął głową.

– Dwa razy. – Uśmiechnął się krzywo. – Zdziwiona?

– Trochę – przyznała, spuszczać wzrok.

– Dlaczego? Skrytobójcę także można zabić.

– Ale ty jesteś...

– Amainem?

– Właśnie. – Odetchnęła.

– Co z tego? – Utkwił w niej oczy. – Żyjemy dłużej, lepiej znosimy brak snu, a nasze rany goją się o połowę szybciej. Jak na psie – dodał cierpko. – Ale to nie znaczy, że nie można nas zranić. Skórę Amaina równie łatwo przeciąć jak twoją, Eurein Tessaro. Krwawimy tak samo. – Uniósł opatrzone przedramię. – A jeśli ostrze ugodzi w żywotny organ, umieramy. Chyba że los postawi nam na drodze bezinteresownego gówniarza, który nie pozwoli rannemu zdechnąć w rynsztoku. – Znów obdarzył ją krzywym uśmiechem. – W gruncie rzeczy nie różnimy się aż tak bardzo.

Milczała. Kasaar przyglądał się jej spod przymkniętych powiek.

– Rozczarowałem cię? – spytał.

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Po prostu zrozumiałam, jak niewiele o was wiem.

– Och, ty akurat wiesz więcej niż inni. – Amain przeciągnął się leniwie, gnąc wargi w drwiącym uśmiechu. – Przynajmniej o jednym z nas...

– I nie żałuję – odparła ze złością. – A ty nie musisz nieustannie mi tego wypominać...

– Czego? – spytał niewinnie.

Umknęła wzrokiem.

– Wiesz.

– Za bardzo się tym przejmujesz – stwierdził Kasaar, wzruszając ramionami. – Co złego może być w tym, że dwoje dorosłych ludzi podaruje sobie odrobinę radości?

– Nic – mruknęła.

– Więc nie masz się czego wstydzić. A jeśli ktoś będzie miał inne zdanie, poślij go w cholerę.

Eurein parsknęła.

– Jeśli tak myślisz, czemu wciąż ze mnie kpisz?

– Och, nie bierz tego do siebie, dziecko – rzekł spokojnie. – To leży w mojej naturze. Czasem myślę, że tylko kpina pozwala nam przetrwać w tym parszywym świecie... W tym wzglądzie nie oszczędzam więc nikogo. Zwłaszcza przyjaciół – dodał.

Dziewczyna zerknęła na niego z ukosa.

– Wszyscy Amainowie są tacy?

– Nie wszyscy. – Kasaar utkwiał w niej oczy. – Ci, których znasz.

Milczała dłuższą chwilę, grzebiąc badylem w węglach, wśród których spopielaty się właśnie resztki ich kolacji. Żmijun przyglądał się temu tak, jakby nie mógł zrozumieć podobnego marnotrawstwa. Wreszcie odwrócił się ze smagnięciem ogona, skoczył na rozpostartych skrzydłach i od niechcienia przygwoździł do ziemi przemykającego opodal szczura. Pożarł go razem z kośćmi, łypiąc spode łba na siedzących przy ogniu ludzi. Eurein nie zwracała uwagi na zwierzaka. Co innego zaprzętało jej myśli. Westchnęła i podniosła wzrok na towarzysza.

– To już jutro, prawda?

– Tak. Jutro. – Spojrzał na nią spod przymrużonych powiek. – Do Gadvaar dotrzemy przed zmierzchem. Lepiej, byś była gotowa.

Eurein odwzajemniła spojrzenie Amaina. W jej drobnej dłoni zatańczył dobytej nie wiedzieć kiedy sztylet.

– Nie popisuj się – skarcił ją Kasaar. – Talent to nie wszystko.

- Wiem. – Schowała broń. – Brakuje mi doświadczenia.
- Pamiętasz, co masz robić?
- Pozostawać w ukryciu – wyrecytowała wyuczoną lekcję. –
I nie angażować się w walkę.
- Dlaczego?
- Bo moje szanse, by wyjść z niej cało, wciąż są jak jeden do stu.
- Teraz już jak jeden do pięćdziesięciu – sprostował Kasaar. –
Ale to wciąż zbyt mało, by niepotrzebnie ryzykować.
- Rozumiem. Gdy jednak nie będzie wyjścia...
- Mówiłem ci o tym. Co wtedy?
- Mam się nie wahać – mruknęła.
- Właśnie. – Wzrok skrytobójcy przebił ją na wskroś. – Masz się
nie wahać zabić.



Liguarski przewodnik odwrócił się z pobladłą twarzą od starego dębu i podniósł wzrok na mocodawcę.

- To koniec – oznajmił.
- Rudowłosa poczuł, jak ogarnia go chłód.
- Koniec? – spytał.
- Dalej nie pojedę, panie.
- Rudy zmarszczył brwi.
- Nie rozumiem. Czy dziewczyna...
- Żyje, jak sądzę – przerwał mu przewodnik. – Ale nie podejmę się ścigania człowieka, który jej towarzyszy.
- Płacę ci za to! – rozeźlił się mocodawca.
- Więc zatrzymaj pieniądze – odparł Liguarczyk. – Ja chcę żyć. Ten człowiek... Amain – uściślił, wskazując rysunek na korze – najwyraźniej nie chce, by ktoś go szukał. Zamierzam to uszanować. Jeśli dziewczyna pozostaje pod jego opieką, nie może być bezpieczniejsza.

- A jeśli nie?
– Wtedy ani ty, ani żaden z twych ludzi nie zdoła jej ochronić – stwierdził przewodnik sucho.
Zapadło milczenie. Rudy zacisnął szczęki. *Tak blisko...*
– Avero an Daar nigdy dotąd... – odezwał się słabym głosem.
– Nie zrozumiałeś, panie – wtrącił Liguarczyk, ponownie wskazując wyrzeźbiony w drewnie kwiat. – Najemnik, którego szukasz, nie posłużyłby się tym symbolem. To znak skrytobójcy.



- Zabiję gówniarza!

Kasim pędził przez cuchnące rybami uliczki ze zdobyczą pod pachą, ścigany wrzaskami i przekleństwami człowieka, którego okradł. Przez ostatnie kilka lat wyszedł z wprawy; niestety zdążył też urosnąć na tyle, że przestał wzbudzać litość, nie mógł więc liczyć, że uda mu się cokolwiek wyżebrać. Odcięte ucho także nie pomagało. Wściekłym ludziom nie sposób wytłumaczyć, że to rana odniesiona w szlachetnej walce, a nie kara za popełniony występki. Największym problemem była jednak dłoń – opuchlizna i zmiażdżone kości odebrały palcom dawną zręczność, a gdy chłopak próbował użyć lewej ręki... Cóż. Efekt słyszał właśnie za swoimi plecami.

Kłątwy okradzionego mężczyzny ściągnęły sporą liczbę gapiów; szczęśliwie dla chłopca do pościgu włączyła się tylko ich część. Gorzej, że zamieszanie zwróciło uwagę konnych gwardzistów, którzy leniwym kłusem patrolowali nabrzeże. W słońcu błysnęły wypolerowane szyszaki, na szkarłatnych tunikach wyprężyły się złote lwy. Kasim zaklął w duchu. Królewscy zapuszczali się nad rzekę dość rzadko i trzeba było mieć wyjątkowego pecha, by na nich trafić.

Chłopak postanowił zatem po raz kolejny sięgnąć po swoje szczęście.

Skręcił za róg magazynu – najpewniej skutniczego, na co mogły wskazywać wałające się przy wejściu elementy takielunku – i pomknął w górę wąską uliczką, poza stertę beczek częściowo tarasujących przejście. Wywrócił je po drodze w nadziei, że spowolni pościg. Nie na wiele się to zdało: stukot podkutych kopyt zabrzmiał w uszach Kasima zdecydowanie szybciej, niżby sobie tego życzył. Zaklął pod nosem i znów przyspieszył, gdy mijał kolejne składy i zdumionych ludzi noszących towar.

Już niedaleko... Tutaj.

Wsunął dwa palce do ust i gwizdnął. Jego szczęście natychmiast wysunęło łeb z opuszczonej szopy i przytruchtało rażno, by zrównać się z chłopcem. Kasim przerzucił worek ze zdobyczą przez siodło, lewą ręką chwycił się łęku i skoczył. Ułamek sekundy później siedział pewnie na końskim grzbiecie. Za plecami słyszał przekleństwa gwardzystów, jedyne słowa w języku Roavenu, które doskonale rozumiał. Narastający tętent wskazywał, że żołnierskie wierzchowce przyspieszyły. Uśmiechnął się łobuzersko.

Powodzenia.

Spiął konia i wyrwał do przodu. Niemal natychmiast odsadził się od ścigających na kilkanaście sążni, a potem jeszcze więcej. Gniady ogierek pomknął wzdłuż rzeki jak strzała, zwinnie omijając warsztaty skutnicze i kramy handlarzy rybami. W pewnej chwili nadbrzeżną drogę zajechał spory wóz. Zwierzę przyspieszyło, wyciągając szyję; Kasim pochylił się w siodle... Skok. Głuchy jęk zaskoczonych ludzi, garść rzuconych w ślad za uciekinierami rybich flaków – i już byli za miastem.

Kasim jednak nie zwalniał. Wiedziony wypracowaną niegdyś złodziejską przezornością, zmienił nagle kierunek i poprowadził wierzchowca w stronę zapomnianego traktu, który przywiódł go tu z Liguaru. Dopiero gdy droga znikła w cieniu lasu piniowego, pozwolił sobie na ściągnięcie wodzy i zmniejszenie tempa do

swobodnego kłusa. Z uśmiechem poklepał konia po szyi. Ten w odpowiedzi rażąco wstrząsnął łbem. Kasim sięgnął do zdobycznego worka i wydobyl z niego dwa małe jabłka. Jedno dał ogierowi, w drugie sam się wgryzł, zachłannie niczym wampir. Lepki sok spłynął mu po brodzie. Przymknął z zadowoleniem oczy. To się nazywa życie...

Nagle drgnął. Gdzieś przed nim zastukotały kopyta, zabrzmiały stłumione przez odległość głosy. Kasim przełknął resztki jabłka, delikatnie sprowadził ogiera z traktu i wraz z nim ukrył się za kępą cisów. Spotkanie z gwardzystami tak daleko od miasta było mało prawdopodobne, ale obszarpany chłopak na pysznym liguarskim ogierze łatwo mógł wzbudzić zainteresowanie także innych ludzi, z którymi niekoniecznie miałby ochotę rozmawiać.

Głosy zabrzmiały wyraźniej. Chłopak zerknął ostrożnie przez szparę między kłującymi gałęziami. Odskoczył jak oparzony, omal nie zdradzając swojej kryjówki. Przygarnięty koń wykazał się większym spokojem; leżał nieruchomo, jak mu wcześniej kazano, a na nerwowy ruch swego drobnego jeźdźca tylko zastrzygł uszami.

Kasim odetchnął, przełknął ślinę i znów zapuścił żurawia przez cisy. Ośmiu ludzi – policzył ich teraz dokładnie. Brakowało liguarskiego przewodnika; pozostałych widział wcześniej, jak przeczesywali zgliszcza po pożarze posiadłości jego pana. Jeden z nich miał rude włosy w odcieniu czerwonego złota, identycznym jak u tamtej dziewczyny, która przybyła razem z...

Zacisnął dłonie. Poniesiona niedawno porażka nie pozwalała łatwo o sobie zapomnieć.

Jeźdźcy rozmawiali podniesionymi głosami, z wyraźnym wzburzeniem. Kasim niewiele z tego rozumiał. Wyłowił kilka pospolitych przekleństw, określenie podobne do „zabić” (to wyrażenie błyskawicznie przyswajał w każdym języku) i jeszcze jedno słowo, które natychmiast postawiło go w stan najwyższej czujności.

Imię.

Kasim czekał, aż jeźdźcy odjadą. Miał wrażenie, że robią to irytująco powoli. Gdy zniknęli za zakrętem drogi, wśliznął się na grzbiet leżącego ogiera i delikatnym pociągnięciem wodzy poderwał go z ziemi. Ścisnąwszy końskie boki łydkami, wrócił na trakt i pogalopował w kierunku przeciwnym do tego, który obrali roaveńscy jeźdźcy.

Lekcje udzielone mu niegdyś przez jego pana okazały się cenną pomocą. Kasim bez trudu wypatrzył ślady Roaveńczyków. Inna sprawa, że oni wcale nie próbowali ich zacierać, pomknął więc po tropie jak po sznurku. Odnalazł ścieżkę przez zarośla, mały strumień, prześwit między drzewami, zdeptaną trawę i wiekowy dąb. Pod dębem zasypano resztki ogniska, jednak to nie one przykuły uwagę chłopca. Kasim zeskoczył z siodła, podszedł do drzewa i dotknął znaku jaśniejącego w miejscu zdartej kory. Rozpoznałby go wszędzie.

Dał ogierowi jeszcze jedno jabłko i pozwolił mu napić się wody ze strumienia. Sam napełnił skradzioną manierkę i upił łyk. *Wystarczy, uznał. Na więcej przyjdzie czas potem.*

Cmoknął łagodnie. Koń podniósł głowę znad wody i natychmiast znalazł się przy nim. Chłopak wspiął się na siodło i ujął wodze. Po kilkunastu uderzeniach serca znów pędził po traktie tam, skąd dopiero co zbiegł.

Nad Roavenem zapadał zmierzch.